

Szczęśliwej podróży...

Oparta o parapet tarasu, Helena niecierpliwie obrywała listki akacji, gdy Paweł, siedzący opodal, błędził wzrokiem za błękitnym dymkiem wonnego papierosa.

Przed nimi słońce zapadało w ton morską.

— Wychodzisz? — spytała kobieta, nie odwracając się.

On zdawał się nie rozumieć, więc powtórzyła pytanie:

— Wychodzisz?

— Czy chcesz, abym wyszedł?

— Ja? Tak ci się zdaje? Pytam się... tak....

Nastało krótkie milczenie, które przerwał Paweł, jakby snując dalszy ciąg swego niemego rozważania.

— Być może, że dla ciebie mężczyzna zawsze jest egoistą.

— Być może.

— I masz słuszną, ale mężczyzna, albo przynajmniej niektórzy mężczyźni kochają, opiekują się i bronią kobiety, która im ślepo zaufa. Kobieta, dla której mężczyzna byłby jedyną podporą, której szczęście polegałoby na oddaniu się ukochanemu człowiekowi, kobieta, gotowa zniknąć z oczu świata, pozostać w cieniu, żyć jedynie miłością dla niego, jeśli tego żąda mężczyzna.

— Wiesz dobrze, że kocham cię i tak, wiesz również, iż cierpię wszystkie męki, wszystkie tortury gdy ludzie mi cię zabierają, to jest, gdy ty oddajesz się ludziom, boć ty sama nie potrafisz żyć zdaleka od świata. Czy nie tak?

— Oczywiście. A któż twierdzi inaczej? Na początku naszej znajomości byłam osłabioną rekonwalescentką i twój smutek podobał mi się; powiem ci więcej, rozumiałam go całkowicie, jak rozumiałam twoją sztukę, te płótna o melancholijnych niebiosach, te blade kobiety, których całe życie wyrażało się w omdleniu zmęczonych rak, twe krajobrazy z konwulsyjnie, jak-gdyby boleśnie wygiętymi drzewami. — Wszystko, wszystko kochałam i rozumiałam zarówno w twojej sztuce, jak i w twoim życiu.

— A teraz? — spytał Paweł drżący — a teraz?

— Teraz... ale pocóż mówić sobie rzeczy gorzkie?

— Musimy sobie powiedzieć wszystko — nalegał malarz — wszystko, jak i w czasach naszej doskonałej miłości, gdy nie było między nami myśli przemilczanej; teraz musimy sobie powiedzieć wszystko.

— Niechaj tak będzie — rzekła Helena, zbliżając się do przyjaciela, ujmując jego rękę i ciągnąc go prawie za sobą na drewnianą ławkę pod drzewem białego oleandru. — Posłuchaj mnie, Pawle, i nie miej mi za złe tego, co ci powiem. Nie masz w tem, ani mojej, ani twojej winy. Różniły się za bardzo. Wszystko, wszystko o to-

bie, począwszy od wyrazu twarzy, do twoich słów, do twojej sztuki nosi cechę beznadziejności. Masz zbyt okrutne upodobanie do wszystkiego, co pachnie trupem, zniszczeniem, do zmarłych i do rzeczy martwych. Swe smętne wspomnienia czerpiesz z łez, strzępów duszy i kropel krwi.

— To życie, to życie zrobiło mnie takim. Gdybyś ty cierpiała tyle, co ja!

— Ludzie prawdziwie silni nie łamią się cierpiąc, buntują się, odrzucają cierpienie precz, przewyciężają je!

— Jak ty rozumiesz! Zdajesz się być raczej filozofem, niż piękną kobietą.

— Nie, kochanie, nie. Skąd tu filozofia? Kocham życie, oto wszystko; co mięło, już nie powróci.

— Jesteś silna!

— Nie wiem. Ale z pewnością patrzę na życie praktycznie; wiem, że jest krótkie, iż nie brak w niem cierpienia, iż należy'ich unikać, ile możliwości i że szczęście idzie na przeciw temu, kto się doń uśmiecha. Lub: się śmiać i śpiewać.

— Nie kochasz mnie, nie kochałaś mnie nigdy.

— Skąd wiesz? Co ty możesz o tem wiedzieć?

— Nie kochałaś mnie nigdy, nawet wtedy, gdy mi przysięgałaś miłość.

— Nie masz prawa nie wierzyć mi, kochałam cię szczerze i głęboko, jak zresztą kocham cię i teraz i będę cię kochała zawsze, nawet wówczas, gdy będę daleko od ciebie.

— Odchodzisz? Opuszczasz mnie? — bąkał przerażony.

— Odchodzę. Gdybym pozostała, nabrałabym wkońcu obrzydzenia do naszej miłości. Ja kocham życie, a twoja miłość mnie przygnębia, dławi, zabija. A ja chcę żyć, chcę żyć! Czy pojmujesz? Ty jesteś wielką duszą, a ja jestem tylko nędzną istotą. Twoja miłość jest dla mnie zbyt wielka, zbyt wzniosła.

Paweł łkał konwulsyjnie. Helena prze-

sunęła rękę po jego włosach.

— Nie chce, abyś płakał; bądź silny i wierź w szczerą moją duszę, która wypowiedziała słowa miłości, gdy nie była do tego zobowiązana, ponieważ cię kochałam; ponieważ cię kocham i będę cię zawsze kochała za to coś, co odkryłam w jednym z twoich obrazów. Sądziłam, że będę mogła żyć z tobą we dwoje, jak w marzeniu. Omyliłam się. Bądź silny. Może to lepiej, że rozmówiliśmy się. Przedtem, gdy spytałam cię, czy wychodzisz, pytałam, bo pragnęłam tego... Chciałam odjechać tak, bez pożegnania. Chciałam oszczędzić go tobie i sobie.

Paweł zerwał się nagle, blady, sztywny, wyciągnął zegarek i rzekł spokojnym głosem:

— O której godzinie odjeżdżasz?

— O dziewiątej.

— Starczy ci zaledwie czasu na przebranie się.

Miał ochotę zapytać jej, dokąd jedzie, do kogo jedzie, miał chęć wziąć ją w ramiona, pocałować, zaklinać, by pozostała, żebrząc jeszcze o jej miłość. To wszystk, wszystko byłoby lepsze, niż myśl, iż nie ujrzy jej więcej. Ale nie poruszył się, nie wyrzekł ani jednego słowa.

Helena, nieco wzruszona zbliżyła się doń pieszczotliwie.

— Nie zachowasz do mnie żalu, prawda?

A gdy milczał uparcie, błagała:

— Nic mi nie powiesz? Nic?

Paweł spokojnie wyciągnął do niej rękę zimną, jak lód i rzekł tylko:

— Szczęśliwej podróży.

Kobieta wypuściła rękę przyjaciela i zniknęła za drzewami.

W tych dwóch słowach, pozornie suchych, a tak tragicznych, zawarła się cała treść świata, co zniknęło na zawsze, zawarło się okrutne przeżycie miłości, żalu i pożądania.

Tłum. Elesta.



Starożytny amfiteatr w Veronie, gdzie odbyły się obecnie wspaniałe przedstawienia operowe „Verona” Boito i „Turandot” Puccini'ego z udziałem kilkuset osób.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

№ 38

Łódź, 16-go września 1928 roku.

№ 38

Dwudziestolecie Ł. K. S. (1908-1928).

Jubileuszowy zarząd Łódzkiego Klubu Sportowego, który w wysokim stopniu przyczynił się do rozwoju sportu w Łodzi. Siedzą od strony lewej: pp. Krachulec Zygmunt, Konopka Heljodor (prezes), Feja Franciszek; stoją: Wnukowski Stanisław, Rąbalski Zygmunt, dyr. Skibicki Zygmunt, Wisławski Tadeusz, Goliński Paweł, inż. Kowalski Stanisław, Lange Zygmunt i Ciaś Józef.

Dzisiejszy numer „Łódź w ilustracji” w większej części poświęcony został Łódzkiemu Klubowi Sportowemu. Fot. Meyer.

TEATR WARSZAWSKI

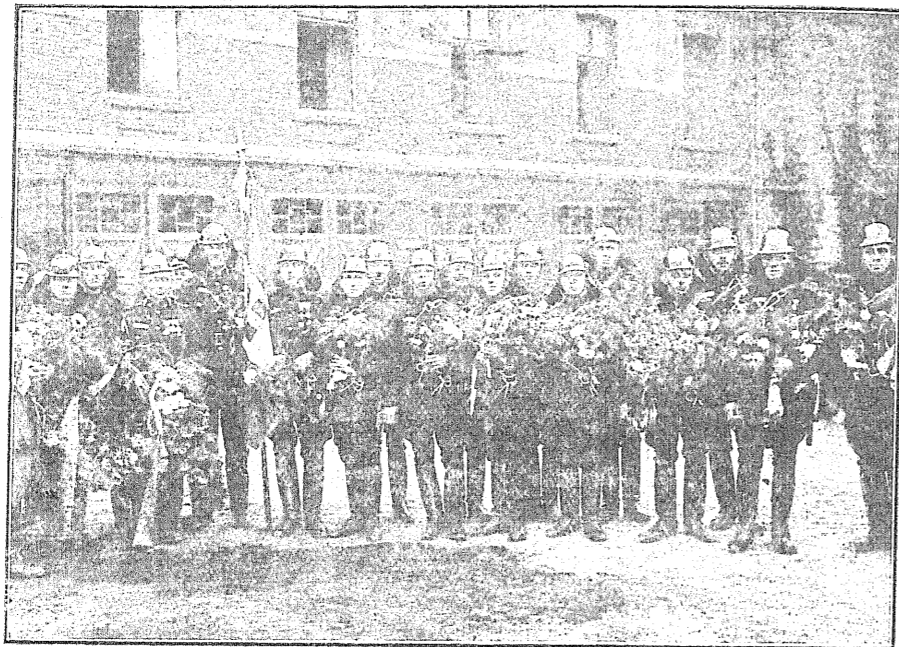
Premjery warszawskie. — Sztuki polskie zagranicą. — Molière po turecku. — Nowości teatralne.

Zachęcona niewątpliwie głosem w poprzednim sezonie powodzeniem „Pani Dulskiej”, dyrekcja warszawskiego Teatru Polskiego wystawiła inną sztukę Zapolskiej p. t. „Tamten”, napisany przez autorkę „Zabusi” 30 lat temu, pod pseudonimem Maskałfa. Popularny na scenach polskich, zwłaszcza od lat wojennych, „Tamten” posiada wiele niestarzejacej się wyrazistości, ogólnego konturu, wiele barwności i sugestywności: w plastyce swych figur scenicznych. Jaskrawość i precyzja efektów scenicznych stworzonych przez tak świetną znawczynię teatru, jak Zapolska, stawiają „Tamtego” — mimo odległość w czasie i różnicę warunków politycznych — w rzędzie utworów, mogących bardzo długo jeszcze liczyć na duże powodzenie i wzburzenie zainteresowania publiczności.

Wykonawcy warszawscy niezawsze poszli naprzeciw intencjom i tendencjom autorki, co tłumaczy się łatwo przyzwyczajeniem do repertuaru bardziej nowoczesnego, wymagającego nie melodramatycznej wyrazistości linii aktorskiej, lecz raczej dyskretnego tonowania i stopniowania środków ekspresji scenicznej. W ogólności jednak przedstawienie wypadło bardzo interesujące, a główni wykonawcy w osobach pp.: Junoszy-Stepowskiego, Pancewiczowej, Leszczyńskiego i Maliszewskiego zasłużyli w zupełności na gorące oklaski.

Z okazji wznowienia „Tamtego” w Teatrze Polskim jedno z czasopism warszawskich wspomniało a propos o ogromnym sukcesie sztuki Zapolskiej w teatrach berlińskich („Residenztheater”) i wiedeńskich („Residenzbuchne”). W Berlinie „Tamtego” (pod zmienionym tytułem „Die Warschauer Zitadelle”) reżyserował dr. Robert, w Wiedniu — dyr. Berlinauer. Po triumfalnych sukcesach „Tamtego” w Berlinie, sztuka Zapolskiej wystawiona została na trzydziestu kilku scenach niemieckich i austriackich, stanowiąc wszędzie pierwszorzędną sensację. Charakterystyczną była w tym względzie opinia najpoważniejszego krytyka berlińskiego, Alfreda Kerra, który recenzję swą po premierze „Tamtego” zakończył dosłownie: „Kłękniście przed tą potęgą polską, która po długim czasie daje nam znowu... prawdziwy teatr...”

Teatr Mały rozpoczął sezon jedną z najnowszych sztuk Verneuil'a p. t. „Kochanek pani Vidal”. Rzecz to niezła w pomysłach zreczna i dowcipna w fakturze scenicznej. Postać naczelną, pani Vidal, kobieta, żyjąca urojeniami, ściąganiem siła... alogiczności do poziomów prawdopodobieństwa czy na wet realności, wycieniona jest doskonale, podmalowana starannie i interesująco. Rutyna autora ratuje komedję przed niebezpieczeństwem trywialności bądź też — martwoty. W dobrym wykonaniu, a takie znalazł „Kochanek pani Vidal” w Teatrze Małym, komedję słucha się z zaciekawieniem i satysfakcją. — Pp. Miła Kamińska i



Mistrzowska drużyna Ł. S. O. O. na placu koszar I-go oddziału, obsypana przez wdzięcznych mieszkańców żywym kwieciami. Fot. Meyer. Drużyna ta zdobyła wszechświatową nagrodę na zawodach strażackich w Turynie.

Maszyński w rolach głównych — bez zarzutu.

Opera warszawska, oddając hołd muzyce rodzimej, zainaugurowała sezon „tygodniem polskim”, wysuwając na pierwsze przedstawienie nieśmiertelne dzieło Moniuszki — „Straszny Dwór”, pod dyrekcją Emila Młynarskiego. Jak się dowiadujemy, opera warszawska otrzymała w bieżącym sezonie 500,000 zł. subdyjumu rządowego, specjalnie na cele popierania i popularyzowania muzyki polskiej. Poważna ta suma pozwoliła z pewnością na udzielenie w repertuarze opery należnego miejsca twórczości własnej, która zastąpić może z całkowitem powodzeniem zwierzała niejednokrotnie „włoszczyznę”, bądź też dorywczo chwytane nowości, niejednokrotnie pozbawione głębszej wartości muzycznej. Wysoki poziom przedstawienia inauguracyjnego, któremu dyr. Młynarski potrafił nadać barwę artystycznej świeżości i uroku, zdaje się pomyślnie wróżyć o losach opery warszawskiej w rozpoczętym już sezonie.

Dowodem rzetelnego zainteresowania się Czechów polską twórczością teatralną, o czym pisaliśmy niedawno na tem miejscu może być m. in. działalność Teatru Narodowego w Bratysławie, który szeroko i starannie uwzględnił autorów i kompozytorów polskich. Teatr ten wystawił niedawno „Kochanków” — Wacława Grubińskiego w wykonaniu artystów praskiego „Narodowego Divadla” oraz „Halke” Moniuszki, przyjętą entuzjastycznie na uroczystym przedstawieniu z okazji otwarcia Targów Dunajskich. Jak widzimy, twórczość nasza, pomimo słabej, bardzo słabej, propagandy ze strony czynników powołanych, siłą własnych swych walorów toruje sobie drogę do uznania i sprawiedliwej oceny zagranicą.

Ciekawy eksperyment dokonany został w jednym z teatrów odrodzonej Turcji, —

gdzie po raz pierwszy wystawiono molierowskiego „Świętoszka” w oryginalnej transkrypcji a la „turcque”. Akcję nieśmiertelnej komedji wielkiego mistrza francuskiego zlokalizowano w Stambule, na schyłku XVIII stulecia, w skórę zaś „świątoszka” obleczonego duchownego tureckiego. Jak twierdzą świadkowie tego oryginalnego widowiska, śmiała transkrypcja nie zaszkodziła nic komedji Molière, nie zatarała jej zasadniczych linii kierunkowych, nie naruszyła świetności konstrukcji.

Dzieła wielkich autorów dramatycznych posiadają właściwość nie tylko skutecznego przeciwstawiania się niszczącemu działaniu czasu, lecz ponadto, dzięki zawartym w nich iskrom twórczego geniuszu stają się coraz bardziej zrozumiałe i dostępne ludziom wszystkich ras i plemion. „Nic, co ludzkiego nie było obce” znakomitym twórcom o imionach, jaśniejących przez wieki w światowym almanachu poetyckim... Gdy — jak wspomnieliśmy wyżej — Molière gra się już po turecku, jeden z literatów japońskich ukończył właśnie gigantyczny trud kompletnego przekładu dzieł Szekspira, dając tem samem nowy dowód niezwyklej żywotności utworów autora „Hamleta”. Literat japoński, który uznał za potrzebne i pożyteczne zaznajomić gruntownie swój naród z twórczością Szekspira, nazywa się Tsubiszi; z jakim zaś petyzmem traktował swe ciężkie zadanie, o tem świadczy fakt, że zadaniu temu poświęcił 43 lata życia. Przez te długie lata tłumacz przestudjował a fond nietylko dzieła wszystkich szekspiologów i twórczość samego Szekspira, lecz również zapoznał się z najwybitniejszymi przekładami Szekspira w kilku językach europejskich. Praca zaiste benedyktyńska, zważywszy m. in. na olbrzymie trudności psychologiczne, historyczne i językowe!...

Delta.

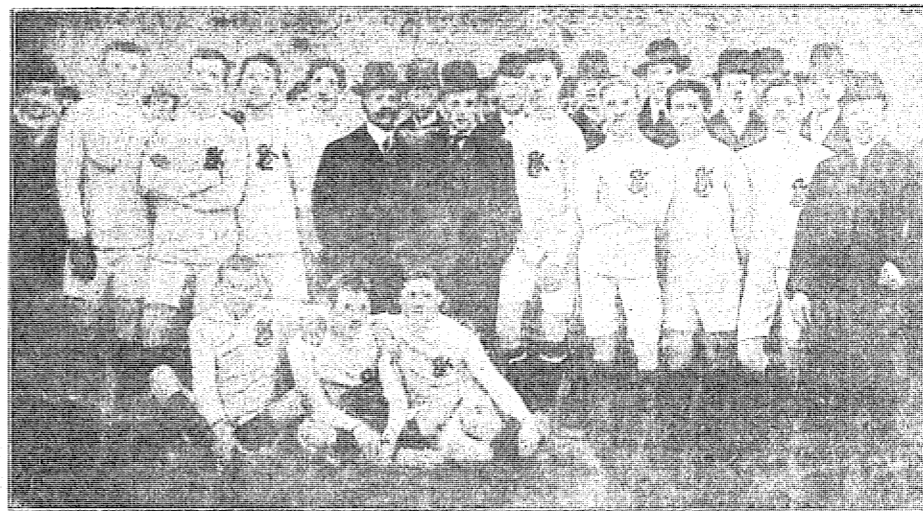
Szlakami rozwoju Łódzkiego klubu sportowego.



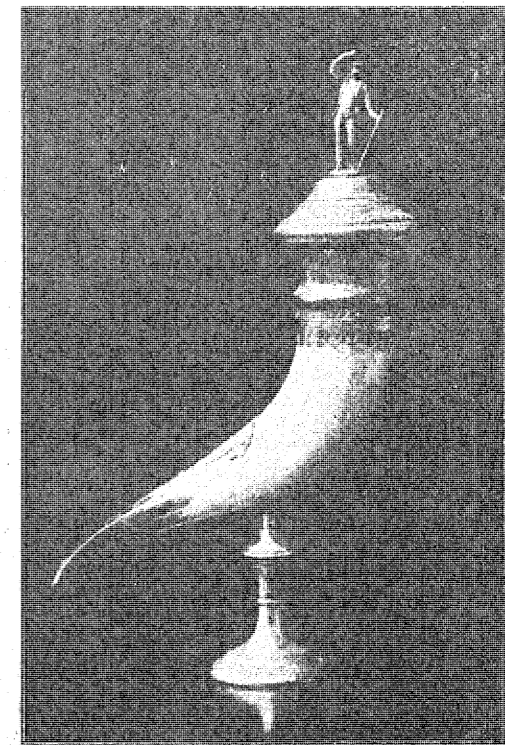
Arnold Heiman, jeden z założycieli Ł. K. S.



Drużyna piłki nożnej Ł. K. S., która rozegrała w 1909 r. zawody w Częstochowie.



Drużyna Ł. K. S., która rozegrała zawody z okazji poświęcenia boiska przy ul. Srebrzyńskiej w r. 1912



Nagroda — róg, zdobyta za mistrzostwo w piłce nożnej w 1912 r.



Juniorzy Ł. K. S. z 1923 roku.



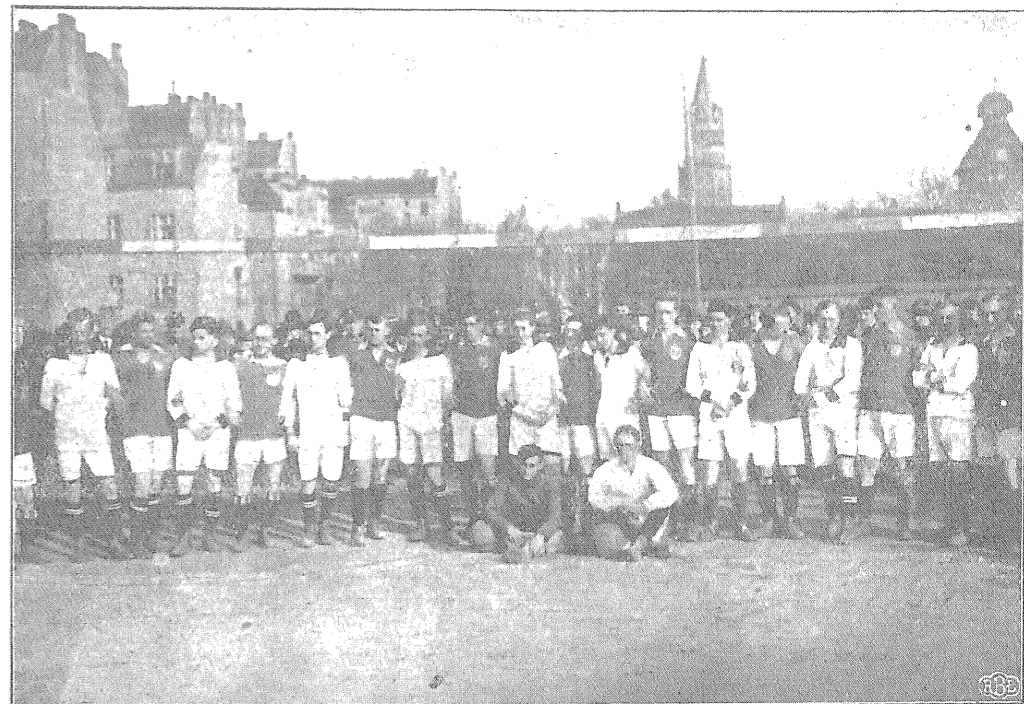
Dyplom za mistrzostwo I-ej drużyny w 1921 r.



Uroczystość otwarcia nowego własnego boiska przy Al. Unji w 1924 r. Na zdjęciu drużyny Ł. K. S. i M. T. K. (Budapeszt).



Juniorzy z 1923 r. — już już czołowi piłkarze.



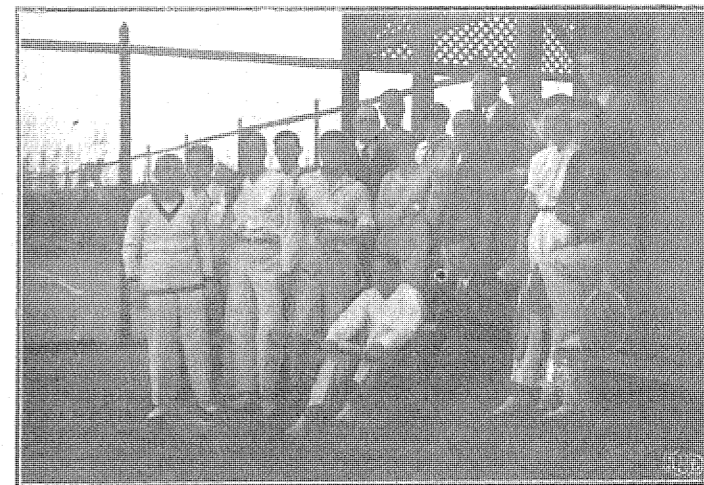
Uczestnicy meczu Ł. K. S. — Warta w 1920 roku w Poznaniu.



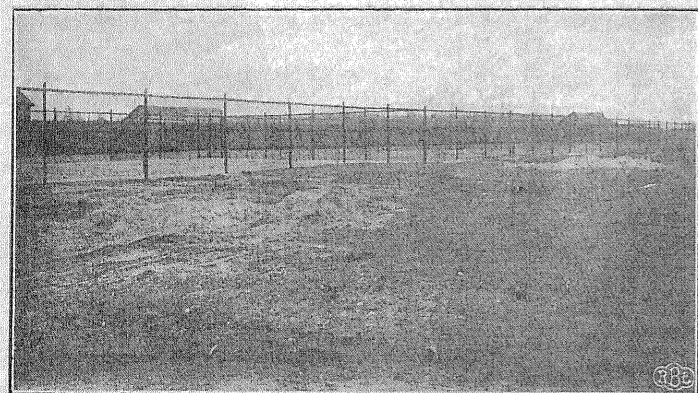
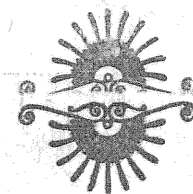
Wybitniejsi piłkarze Ł. K. S. z kierownictwem sekcji piłki nożnej i trenerem Lintzmeyerem.



Pierwsza drużyna Czernych z obecnego roku z Cicheckim, który z Legią wca do macierzystego klubu. Fot. Meyer.



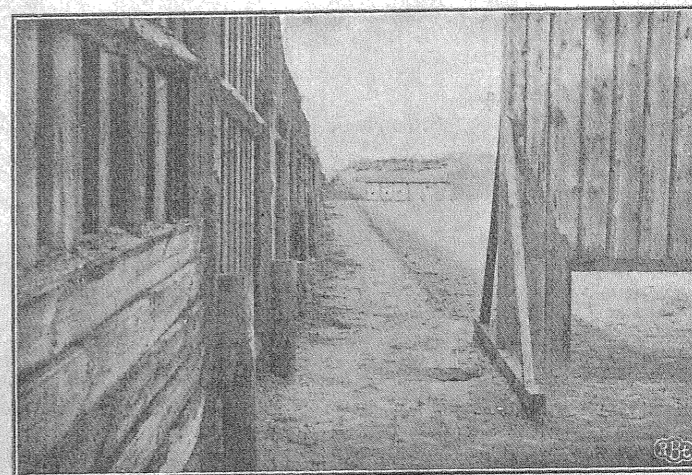
Młoda sekcja tenisowa Ł. K. S. ze swym zarządem.



Widok kortów tenisowych na boisku przy Al. Unji.



Nowowytbudowana weranda przy kortach i strzelnicy dla wodników i gości.



Widok I-ej olimpijskiej strzelnicy małokalibrowej.



Puchar za grę w 1910 roku, ofiarowany Ł. K. S. przez Tow. Krzewienia Oświaty w Łodzi.



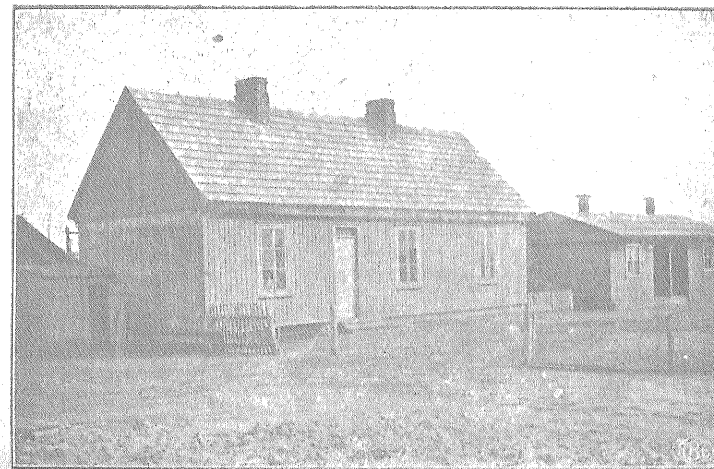
Uczestnicy meczu Ł.K.S. — Korona (Warszawa) w 1920 roku.



Dyplom za uzyskanie mistrzostwa przez juniorów w 1922 r



Sekcja kolarska Ł.K.S., która w 1927 roku wzięła udział w wielkich manewrach wojskowych, jako oddział łączników.



Pierwszy obiekt (domek mieszkalny i szatnia), jaki stanął na zniwelowanym terenie, wydzierzawionym Ł.K.S. przez miasto w 1922 roku pod boisko.



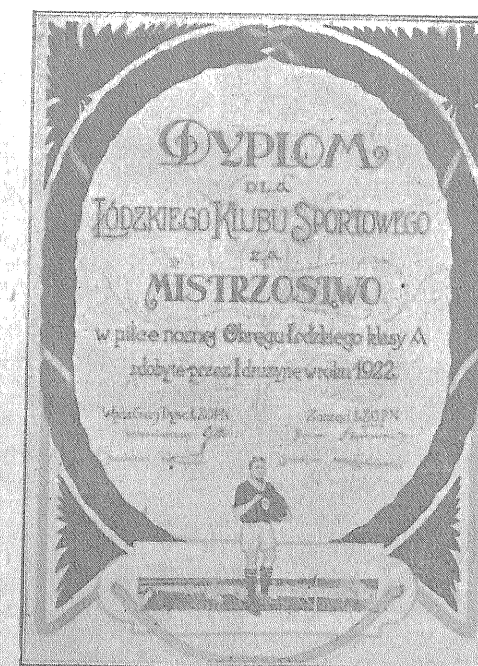
Wybitniejsi członkowie sekcji kolarskiej Ł.K.S. ze swym kierownictwem.



„Karolek” Hanke w karykaturze.



Słynna drużyna Czerwonych z 1913 roku.



Dyplom za mistrzostwo w 1922 roku.



Dwaj wybitniejsi lekkoatleci Maciaszczyk i Krauze z 1923 roku.



Dyplom za mistrzostwo w 1923 roku.

Człowiek.

— Najbardziej bezinteresownego człowieka — zaczęła Magdalena Fargeal — spotkałam w decydującej chwili mego życia! Jemu winna jestem szczęście... pełnię mego szczęścia...

Magdalena wpadła w rodzaj zadumy, z której wyrwał ją surowy głos pani de Miretonnes.

— A ta historia?

— Ach, prawda... Zaczynam zatem! Miałam wówczas około dziewiętnastu lat (działo się to wkrótce po zawieszeniu broni) i ojciec mój, zrujnowany przez wojnę, borykał się z trudnościami materialnymi. Byłam zaręczoną z Jakóbem Morteverre, ale zaręczyny te wisiały na włosku, jeżeli można nazwać włoskiem spadek po wuju moim Anzelmie.

Wuj Anzelm, chory na raka w żołądka, dożywał ostatnich dni na naszym podksięzycowym świecie. Nie było mowy o powrocie do zdrowia. Mógł co najwyżej pociągnąć do wiosny, a mieliśmy koniec stycznia. Byłam jedyną jego spadkobierczynią — inni jego krewni jako dalsi, nie wchodzili w rachubę. Wuj Anzelm jednak nie doczekał nawet wiosny: zamknął bowiem oczy na dwa tygodnie przed Wielkanocą. Nie miałam powodu oplakiwać jego śmierci: człowiek twardy, niesprawiedliwy, śledziennik, nie cieszył się sympatią sąsiadów, ani był lubiany przez swą — zbyt często zmienianą — służbę.

Spadek mój zatem zdawał się być pewnym i chciwa rodzina Jakóba godziła się już przyjąć mnie do swego grona.

Kochałam tego młodzieniaszka Jakóba całą gorącością pierwszej mej miłości. On również odplacał się mi wzajemnością, nie był jednak z liczby tych, co umieją stawiać czoło woli rodziców; ja sama zresztą nigdy bym nie przystała na rolę intruza w rodzinie.

Pamiętam jak dziś ten poranek, kiedy udaliśmy się, ojciec i ja, do rejenta Celestyna. Dzień zapowiadał się mglisty i bardzo pochmurny, ale serce moje pełne było radostnej wiary w przyszłość.

Zdziwiliśmy się niepomiernie, gdy nas wprowadzono do gabinetu jednocześnie z wysokim, młodym człowiekiem, ubranym czarno, dobrze zbudowanym i o twarzy tak energicznej, że nicomal twardej.

Rejent przedstawił go nam. Był to mój kuzyn, Filip, rodem z Guyenne, którego pierwszy raz widziałam w życiu.

Utkwił we mnie jasny i dumny zwrok; zwrok zdobywczy i zwycięski, który mnie bardzo chwycił za serce, i zdawał się szacować moją osobę.

Usiedliśmy, ażeby wysłuchać rejenta Celestyna, który oznajmiwszy nam, że ma u siebie testament wuja Anzelma, przeczytał go.

O mały włos nie zemdlałam. Wuj Anzelm wydziedziczył mnie na rzecz kuzyna Filipa, zobowiązując go do wypłacania mi

alimentów w sumie sześciu tysięcy franków...

Kuzyn Filip słuchał obojętnie.

— Co to znaczy? — odezwał się z flegmą — nie widziałem wuja Anzelma na oczy! Poco do diabła, zapisuje mi swój majątek? Czy był w złych stosunkach ze siostrzenicą?

— Broń Boże! — odparł rejent. — Był to poprostu dziwak niezbyt dobrego serca...! W każdym bądź razie wiesz panu szczęśliwego zbiegu okoliczności...!

— Nic z tego! — zawołał kuzyn Filip. — Postanowiłem (a nie zwykłem się cofać) zdobyć majątek własnymi siłami. Jeżeli przyjmę miliony, które mi ta bibuła przyznaje, postąpię wbrew swym przekonaniom. Zrzekam się zatem spadku!

Ojciec mój zbladł, ja zaś dostałam zawrotu głowy.

— Pan nie mówi na serio — odezwał się rejent.

— Nie na serio? — oburzył się kuzyn Filip — nie na serio? Słowo honoru daję, panie rejencie, że nie tknę ani jednego centyma z tych pieniędzy i proszę o natychmiastowe sporządzenie aktu zrzeczenia — chyba, że mi pan pozwoli podrzeć testament.

— Podrzeć? — zawołał rejent przerażony. — To niemożliwe! Co zaś do aktu, którego pan żąda ode mnie, trzeba się nad tem głębiej zastanowić.

— Niema się nad czem zastanawiać — odparł Filip szorstko. — Ja chcę żyć swoim własnym życiem, któremu na imię — „walka“! Niech ten majątek idzie do rąk legalnej jego właścicielki...

— Panie — zawołałam do głębi wzruszona. — Ja nie mogę pańskiego daru przyjąć...

— Pani żadnego daru nie przyjmuje ode mnie, bo te pieniądze należą do pani!

Nie ustąpił. Zrzekł się bezapelacyjnie spadku, z czego ja, zakochana wówczas po uszy, nie mogłam się nie cieszyć...

Wysłałam zamaż za Jakóba, oczywiście.

— Pani zamażpójście mało nas obchodzi — przogrywała pani Miretonnes ponownie zadumę Magdaleny. — Ciekawi jesteśmy natomiast, czy dziwny ten człowiek zrobił majątek?

— Zaczekajcie — odezwała się znowu Magdalena. — Poślubiłam tedy Jakóba i byłam z nim szczęśliwą jeden rok, drugi już mniej, w trzecim roku szczęście pierzchno bezpowrotnie. Rozstaliśmy się, wycofując każde swoją część majątku, poczem zamieszkałam w Bordeaux, spędzając letnie miesiące w Pevigord — wiosce odziedziczonej po wuju Anzelmie.

W Bordeaux widywałam się dość często z Filipem i w krótkim czasie pokochałam sercem całym tego człowieka ze stali, który według swej zapowiedzi podjął o własnych siłach walkę z życiem.

I on mnie pokochał — czułam to intuicyjnie, ale był zbyt dumny na to, aby mi wyznaczyć swoją miłość.

Przyparty przeze mnie do muru, powiedział:

— Tak, kocham cię... ale nim się z tobą ożenię, muszę zdobyć majątek!

— Och! — zawołałam — toby za długo trwało, a życie tymczasem ucieka. Miłość to także majątek i najpiękniejszy ze wszystkich w dodatku!

Długo się opierał, stawiając najrozmaitsze warunki: pobierzemy się, ale fundusze nasze będą rozdzielone; Filip nie weźmie udziału w zbytku, którym ja jestem otoczona; będziemy mieszkać osobno i spotykać się z sobą, jak kochankowie...

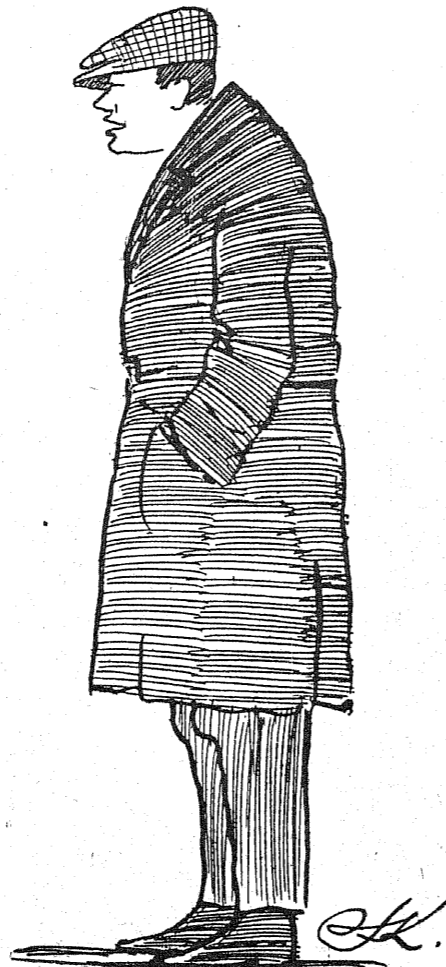
— I pobraliście się wkońcu — przerwała z pogardliwym gestem pani de Miretonnes — ...a ten pan Filip umarł, albo się pani rozstała z nim, nieprawdaż?

— Filip zrobił majątek o własnych siłach — odparła dumnie Magdalena — zdaje mi się, że to jedynie interesuje panią.

— Przeciwnie! Chciałabym również wiedzieć, co się z nim stało? Gdyż pani obecnemu mężowi nie Filip na imię...

— Ale to jest ten sam Filip, łaskawa pani. Szczęście, które mu winna jestem, nie na tem polega, że mi odstąpił swój spadek, lecz, że był i jest dla mnie najlepszym mężem w świecie!

— Prawdziwe zdarzenia są stanowczo bardzo nieprawdopodobne! — zauważyła młoda pani Virète. **Thum. Jotsaw.**



Pierwszy wieloletni trener Ł. K. S., ulubieniec sportowej Łodzi, Lajos Czelzler, w karykaturze.



Z biegu kolarskiego dookoła Polski.



Czołowi zwycięzcy siódmego etapu (Poznań—Łódź) pierwszego biegu kolarskiego dookoła Polski po otrzymaniu nagród: Więcek Feliks, Wisznicki Zygmunt, Olszewski Henryk, Michalak Eugeniusz i Klosowicz Stanisław (Łódź).

Fot. Meyer.